



Jak się buduje dom z rafy koralowej?

- To najbardziej powszechny materiał budowlany na wyspie, ludzie żyją po prostu z tego, co da im ocean. Najprostsze domy buduje się z ociosanych kawałków rafy, ten materiał jest bardzo wytrzymały i tani, dobrze się go obrabia. Domy maluje się na biało i kryje dachem z liści palm kokosowych. Miejscowi stawiają dom, jak nałowią sobie wystarczająco dużo kawałków rafy. Oczywiście ja nie byłam w stanie sama tego zrobić, poza tym mój dom miał być dość duży, większy od typowych domostw w Jambiani. A zatem część materiału kupiłam, część domu zbudowałam z pustaków, ale dach ma taki, tak wszystkie domy w okolicy – z liści palmy.

MOJA AFRYKA

Z Dorotą Katende, Polką, która na Zanzibarze odnalazła dom i miłość swojego życia, rozmawia Anna Danilewicz:

Przez długie lata jeździła Pani do Afryki jako turystka. Teraz ma Pani swój dom na Zanzibarze. Kiedy uświadomiła Pani sobie, że przestała być tam obcą, a stała się tutejszą?

- Trwało to bardzo długo. Właściwie dopiero jak kupiłam na Zanzibarze ziemię, zbudowałam dom, odnalazłam miłość, to powoli zaczęłam być „stąd”. Tak się akurat złożyło, że jak skończyłam budowę mojego domu z rafy koralowej, musiałam zaraz lecieć do Polski. Miałam już kupiony bilet, bardzo śpieszyłam się, żeby zdążyć i nie mogłam nacieszyć się tym wszystkim. Ale po jakimś czasie, wracając na Zanzibar, po raz pierwszy pomyślałam: wracam do domu.

Co ciekawe, okazało się, że łatwiej, prościej tu się żyje, będąc turystą. Musiałam się nauczyć języka suahili, obyczajów, codziennego życia. A nawet takich prostych spraw: żeby się nie śpieszyć, nie chcieć wszystkiego na „już”, „na teraz”. Nie krzycheć, nie podnosić głosu w rozmowie, nawet jeśli jestem bardzo zirytowana, przekonana, że mam rację, z czymś się nie zgadzam.

Wyobraź sobie... raj. Wyspę, gdzie zawsze świeci słońce, strzeliste palmy kotyszą się na wietrze, a kwiaty odurzają zapachem. Wyciągnij rękę – z każdego drzewa zerwiesz soczyste papaje! Wejź do oceanu i bierz – obfitość owoców morza i ryb nigdy nie pozwoli ci zaznać głodu. Otwórz oczy i patrz – feeria barw i bogactwo form zaspokoi twą potrzebę piękna.

Mieszkańcy rajy są zawsze uśmiechnięci i pozdrawiają się nawzajem. Kiedy ich spotkasz, zapytaj, czy jesteś szczęśliwy i zdrowy. Zasady życia są proste. Nie ma rzeczy skomplikowanych.

Taki jest Zanzibar. Jedyne miejsce, które pozostało rajem.

Jak zmienił się stosunek mieszkańców wyspy, kiedy zamieszkała Pani wśród nich na dobre?

- Stopniowo przestali zwracać się do mnie „muzungu”. To nie jest nic obelżywego, nic złego. Po prostu określenie na „obce-

go". Tak Zanzibarczycy zwracają się do turystów. A na mnie teraz mówią „Mama Dorota”, jak na wszystkie kobiety z sąsiedztwa. I tak mnie traktują, co ma swoje dobre i złe strony. Musiałam, na przykład, przyzwyczać się do tego, że oni wszystko o wszystkich wiedzą, że muszą znać każdy szczegół z życia sąsiada, że dzieci stale zagląдают mi w okna, żeby zobaczyć, co robię, co jest dziś u nas na śniadanie. Jak w domu podniosę głos, pokłócę się, to od razu na drugim końcu wioski pytają, co się stało. Poszłam kiedyś na spacer. Sama, a tam rzadko zdarza się, żeby kobieta sama gdzieś wychodziła. Postanowiłam jednak, że odwiedzę znajomych, którzy w innej części wyspy mają hotelowe bungalowy. Kiedyś, zanim zbudowałam dom, mieszkałam u nich. I od tego czasu bardzo lubię przychodzić tam na masaże, bo mają świetnych masażyistów. Tego dnia również poprosiłam jedną z dziewczyn o masaż. Było cudownie! Kiedy wróciłam do domu Justin, mój mąż, już dokładnie o wszystkim wiedział i opowiedział szczegółowo, jak wyglądał mój dzień: gdzie, ile czasu spędziłam, którą szłam, a nawet, że byłam rozebrana, przykryta ręcznikiem i jak długo trwał masaż. Potrzebowałam trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Druga sprawa to radość z chwili, z każdego dnia. My, ludzie Zachodu, wciąż wybiegamy naprzód, planujemy, ciągle czymś się zamartwiamy. A oni po prostu żyją. Choć to piękne, nie jest łatwo przestawić się.

Skoro mieszka Pani w raju, to dlaczego wciąż wraca Pani do Polski?

- Pół roku spędzam w Polsce, a drugie pół na Zanzibarze. Tu jest moja rodzina, moje dzieci. Mam w Polsce firmę, biuro turystyczne, teraz książkę... Ciągłe coś mnie tutaj trzyma. Ale Justin nie jest w stanie zbyt długo przebywać w naszym kraju. Z reguły spędza tu ze mną dwa, trzy miesiące i wraca. A dla mnie to jeszcze za mało. Więc zostaję i... tęsknię, za Justinem, za Zanzibarem.

Opisuje Pani swoje życie na Zanzibarze w niezwykle pięknych barwach, z ciągłym zachwytem, każdym słowem potwierdzając, że było warto. Ale w życiu musi być równowaga – jakie zatem są koszty?

- Ciąglą tęsknota. To za Justinem, z naszym domem, kiedy jestem w Polsce, a za dziećmi, gdy mieszkam na Zanzibarze. Zanim zamieszkałam na wyspie, jeździłam do Afryki przez wiele lat. I podczas tych wszystkich wyjazdów zastanawiałam się, jak dalej ma wyglądać moje życie. Bywało trudno: miałam małe dzieci, rozstałam się z mężem, moja firma miała duże problemy, budowałam dom, spłacałam kredyt, i tak przez wiele lat. Aż poznałam Justina - to naprawdę była moja wielka miłość, miłość od pierwszego wejrzenia. Od tego momentu wszystko zaczęło się układać.



Wciąż jednak jestem rozdarta. W Polsce mieszkają przecież moje dzieci. To już prawie dorośli ludzie... Kiedy wyjeżdżałam po raz pierwszy, były jeszcze małe. Wiele ze mną przeżyły: moje wyjazdy, problemy rodzinne i finansowe. Ale myślę też, że to bardzo dobrze na nich wpłynęło. Dziś są bardzo dojrzałymi, samodzielny ludźmi. Nigdy nie trzeba było ich zmuszać do wykonywania swoich obowiązków, do posłuszeństwa, szybko nauczyli się radzić sobie ze wszystkim. Potrafią brać odpowiedzialność za siebie, za to, co robią. Jestem z nich bardzo dumna, ale towarzyszy mi też smutne poczucie, że coś z ich życia mnie ominęło. Teraz też mam wrażenie, że w ich życiu coś ważnego się dokonuje: stają się ludźmi dorosłymi, wychodzą spod mojej opieki, są coraz bardziej samodzielni. To istotny moment i bardzo chcę w tym uczestniczyć, być przy nich, wspierać ich, chcę im pomóc i towarzyszyć. Zależy mi na tym, żeby zawsze byli moimi przyjaciółmi.



Lubimy z Justinem siedzieć na tarasie Vanilla House z kubkiem kawy z kardamonem w dłoni, fantazjować i marzyć. Widok z tarasu wprowadza nas w trans, pozwala zapuścić się gdzieś w nieznane zakamarki umysłu. Przychodzą nam wtedy do głowy myśli, które nigdy by się nie pojawiły, gdyby nie bezkres oceanu przed nami. Zapominamy wówczas o swoich ograniczeniach, o tym, kim jesteśmy i skąd pochodzimy, ile mamy lat i jakie poważne obowiązki.

Pani książka może być takim streszczeniem marzeń wielu polskich kobiet, które w snach też widzą siebie na rajskich wyspach, ale na jawie boją się zrobić choć jeden krok w tym kierunku. Może im Pani powiedzieć, jak to się robi? Jak się realizuje marzenia?

- O tym jest właśnie moja książka: że chociaż to bardzo trudne, to jednak trzeba iść za wewnętrznym głosem, trzeba umieć rozpoznać swoje przeznaczenie. W moim przypadku takim znakiem były opowieści przyjaciółki o Afryce i książka Karen Blixen. Kiedy przypadkiem natknęłam się na „Pożegnanie z Afryką” w antykwariacie zrozumiałam, że to jest właśnie znak dla mnie, że Afryka mnie wzywa. To była niezwykle silna potrzeba, ale... moja decyzja spotkała się z ogromnym sprzeciwem ze strony bliskich. Nikt mnie nie poparł. Wszyscy pukali się w głowę. Ani mój mąż, rodzice, ani przyjaciele nie rozumieli, dlaczego chcę pojechać do Afryki. Nie chcieli mi pomagać, lekceważyli to. Dla mnie to była naprawdę trudna sytuacja. Nikt nie rozumiał mojej fascynacji i nie wspierał mnie. A przecież na samym początku chodziło tylko o trzytygodniową wycieczkę! Prawdziwa fascynacja zaczęła się dopiero po jakimś czasie. Jednak uparłam się i pojechałam. Wszystko, co się później wydarzyło, było konsekwencją tej decyzji. Wiele kobiet zatrzymu-

je się jednak w tym momencie – boją się podjąć decyzję. To jest wielki problem w Polsce, że kobiety nie potrafią, albo wręcz boją się same decydować o swoim życiu, bo mąż, dzieci, rodzina. A gdzie jestem ja? Miałam odwagę zadać sobie to pytanie i choć nie raz było mi naprawdę bardzo ciężko, to nie żałuję. Odnalazłam swój raj i miłość swojego życia. Moja książka opisuje nie tylko to, co wspaniałe, ale też to wszystko, z czym musiałam się zmierzyć. Innym kobietom mogę zatem życzyć tylko jednego: żeby umiały słuchać siebie i czasem zaufać sobie, swoim marzeniom. A przede wszystkim, żeby nigdy nie zrezygnowały z siebie, nie zawiesiły swojego życia na haku, nie stwierdziły, że już jest za późno.

Świat jest piękny, ale najpiękniejszy wtedy, kiedy podziwiasz go w całej krasie, nie przesypiając ani chwili.

Jak zmieniła Panią Afryką?

- Przez całe życie byłam przekonana, że muszę być silna, że jeśli sama czegoś nie zrobię, to nikt nie zrobi tego za mnie. Na Zanzibarze kobiety są zupełnie inne. Nie robią właściwie nic, nawet domem, dziećmi bardzo często zajmują się mężczyźni. To od nich oczekuje się, że zadbają o wszystko: o dom, jedzenie, utrzymanie rodziny. Dbanie o rodzinę to sprawa honoru. Mąż nigdy nie może



obrazić się na swoją żonę, zostawić ją bez środków do życia. Może mieć nawet kilka żon, ale pod warunkiem, że wszystkim zapewni godziwe życie. Mężczyzna, który się żeni, musi mieć warunki do tego, żeby utrzymać całą swoją rodzinę. Kobiety nie muszą się troszczyć o nic. Obserwowałam je, jak leniwie spędzały cały dzień, leżąc, wolno się przechadzając, wykonując jakieś drobne czynności. Prawie wszyscy mieszkańcy Zanzibaru to muzułmanie, więc kobiety są zakryte od stóp do głów. Widać tylko ich wielkie, przepiękne oczy. Kiedyś zauważyłam, że te oczy są takie spokojne, takie szczęśliwe. Trudno mi było to zrozumieć, ja ciągle pracowałam, o wszystkim chciałam decydować, wszystko zrobić sama. I tak było mi dobrze. Ale teraz coraz częściej myślę, że chciałabym żyć choć trochę tak jak one (śmiech). Powoli, bez obowiązków, skupiając się tylko na tym, co dla mnie dobre.

Co na to Pani mąż?

- Bardzo by chciał, żeby tak było! Mówi mi czasem: ty sobie leż, leż, leż ile chcesz, a ja się wszystkim zajmę. Właściwie... mogłabym nawet sobie na to pozwolić. Ale nie potrafię się przestawić tak od razu, to wymaga czasu. To zabawne, jak wszystko się odwróciło. Najpierw przez długie lata walczyłam o to, żeby móc decydować o sobie i swoim życiu, a teraz dochodzę do wniosku, że byłoby bardzo przyjemnie, gdyby ktoś robił to za mnie.



Wspomina Pani w książce, że po powrocie z pierwszej wyprawy do Afryki miała Pani ogromny niedosyt i tysiące pytań w głowie, których nie zadała Pani jeszcze swojemu przewodnikowi. Czy dziś, po tylu latach w Afryce, wciąż jeszcze któreś z nich nie doczekało się odpowiedzi?

- Właściwie zostało jedno pytanie - o czarną magię. Czy rzeczywiście istnieje, jak wierzą Zanzibarczyzy. Wciąż nie wiem, choć chyba raz jej doświadczyłam. Pewnego wieczora Justin dostał czkawki. Początkowo w ogóle nie zwróciłam na to uwagi, bo przecież czkawka to nic poważnego. Nie przechodziło mu to jednak przez wiele dni, nic nie pomagało. A taka długotrwała czkawka może już doprowadzić do śmierci. Justin czuł się coraz gorzej, był osłabiony, bolało go serce. W okolicy nie było żadnego szpitala, ani lekarza. W końcu mój mąż mówi, żebyśmy pojechali do szamana. Nie bardzo w to wierzyłam, ale co miałam robić? Szaman przyjął nas, wysłuchał i dał nam korzeń jakiejś rośliny. Wytłumaczył, jak trzeba przygotować napój z tego korzenia i pić po cztery łyżki dwa razy dziennie. Już po tych czterech pierwszych łyżkach czkawka minęła. Niebawem znowu rozmawialiśmy z szamanem. Powiedział, że był u niego ktoś, z prośbą, żeby Justin cierpiał... A zatem wciąż jeszcze w Afryce jest coś, czego nie poznałam, czego do końca nie rozumiem.

Dziękuję za rozmowę.

Foto: Jędrzej Bania